



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## UCZTA NA PNIU DRZEWA.

Dla tych, których zaciekawia otaczająca ich przyroda, nieprzebrany bodaj materiał do bliższego poznania, przedstawia liczny i różnorodny w swych odmianach świat owadów, których wedle badań uczonych poznano dotychczas około 250,000 gatunków. Niema też zakątka ziemi zupełnie wolnego

od drobnych tych istot; oczywiście jednak rozmnażanie ich zależnem jest od obfitości roślin, potrzebnych im pokarm, zwłaszcza dla liszek, a tego dostarczyć mogą tylko pewne gatunki, albo grupy roślin; z tej też racji w nierównie większej ilości występują owady w okolicach gorących jak zimnych, a огоłocone z roślinności strefy podbiegunowe, znają niektóre tylko ich gatunki. Bo matka natura troszczy się zarówno o swe największe jak i o najdrobniejsze dzieci i dba o ich potrzeby; często nawet przygotowuje im wspaniałe uczyty wśród naszych sadów, pól, lasów i łąk.

To też darza się niejednokrotnie, że na jednym miejscu zgromadza się tam rzesza barwna, błyskotliwa, szeleszcząca i ruchliwa, bogata w odmiany barw i kształtów, jakby wysłańcy różnych krain, w narodowych strojach zebrali się na jakiś wiec wspólny.

Taką właśnie chwilę z życia owadów przedstawia nam załączona rycina, gdzie na pniu świeżo ściętego drzewa wysiłekające soki zwabiły mnóstwo owadów, przeważnie tegoskrzydłych, czyli żuków. Więc szmaragdowo-złotawą barwą błyszczą skrzydła pięknego okazu złotawki, która bywa ozdobą każdego zbioru amatora naturalisty, jako okazalsza wielkością od swych krewniaków, z których jeden, widocznie upojony słodyczą drzewną, spadł właśnie na ziemię i leżąc na grzbiecie, z trudnością tylko broni się napastującym go mrówkom, dla których jak się zdaje bywa szczególnym przysmakiem. Obok złotawki przysiadł kozioróg, biorący udział w uczcie wraz z kowalem w czarnym w czerwone prążki płaszczyku. Przedewszystkiem jednak ściaga na siebie uwagę największy żuk naszych stref: wspaniały jelonek. Pewny swej siły zwraca on właśnie potężne i ostre swe szczęki, które pospolicie rogami zowiemy, ku nadlatującej pszczołce, jakby ją chciał groźną tą postacią odstraszyć od wspólnej biesiady. Tak liczne zgromadzenie zwabiło też dwa okazy szczególniejszej pożytecznych żuków; więc po lewej stronie skrada się na liszkę czerwono-zieloną liszkojad, a po prawej zwolna posuwa się czarny z liliowymi brzeżkami u skrzydeł ogrodnik, obadwaj nieubłagani tępiciele liszek.

Kiedy już cała ta rzesza żuków nasycona ustąpi z miej-



sca, by w cieniu liści zażywać spokoju, wtenczas może lekko-skrzydłe motyle *pawik* i *cytrynek* trzymające się dotychczas dumnie na uboczu, jak wystrojone damy wśród biedniejszego tłumu, zechcą z kolei przysiąść na chwilę, by się orzeźwić choćby kropelką drzewnego nektaru. A gdy wreszcie noc rozpostrze nad ziemią płaszcz swój ciemny, ośmielią się też zapewne opuścić swe ukrycia, ciężkie i ponure cmy i omacnice, by z kolei zasiąść do uczty, jaką przyroda tak szczerze im zastawiła.

# ODZYSKANY.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Łopuszańską.

Nad szeroką płaszczyzną budziackiego stepu wstał właśnie księżyc... Sunął powoli po niebie, czerwony, duży, okrągły słabo jeszcze bardzo rozświecając nocne cienie, które zapadły nad stepem. Widnokrag przedstawiał się jak dwie linie: jaśniejsza i ciemniejsza, a oko obywszy się z ciemnością dostrzegało po jakimś czasie, falowanie olbrzymich traw i burzanów, pokrywających te obszary. Gdzieniedzie wyrastała wśród nich mogiła samotna, lub też cały ich łańcuch ciągnął się na wielkiej przestrzeni i ginał kędyś w dali. Na widok tej ogromnej niezmierzonej pustki, mimowoli groza jakaś obejmowała duszę, a każda istota zdawała się drobnym punktem rozplywającym się w ciemnościach bezgranicznej płaszczyzny. Od traw i burzanów, skąpanych w rosie szedł jakiś mocny, szczególnie zapach, była to potężna owa woń stepu, która uderza każdego, kto tylko wkracza w jego przestrzenie. Miejscami błyszczały rozlane małe stepowe jeziora, z których rozlegał się wiosenny chór żab, przerywany jednostajną nutą węza wodnego smętną i melodyjną, która niekiedy przechodziła w rozmaite tony, albo też łączyła się w jeden akord; głosy te odzywały się zewsząd; zblizka i zdaleka i zdawało się że to sam step śpiewa. Lecz muzykę tę przerywały od czasu do czasu mniej zgodne głosy. Derkacz odzywał się w trawach, w oczeretach gdzieś lis zaszczeakał a z oddalenia rozlegało się wycie wilków stepowych...

Księżyc rozlewał coraz jaśniejsze światło nad stepem, srebrząc mgły, wznoszące się smugą w północnej stronie, mgły te zdradzały, że w tym kierunku płynęła rzeka, której w ciemnościach dojrzeć niepodobna było. Chwilami wielka cisza zapadała nad całą tą płaszczyzną, lecz w ciszy owej jeszcze rozlegały się dziwnie tajemnicze szmery i odgłosy i słyhać było jak oddychała pustynia...

Nad jeziorami także zaczęły wstawać opary i wisały nisko nad ziemią, niby białe opony cudnie rozesłane, kilka ptaków błotnych z ciężkim łopotem skrzydeł, porwało się nagle, śnać przez coś spłoszone i poleciały na drugi koniec jeziora. Czasem dochodziły takie głosy, że ucho w żaden sposób zrozumieć nie mogło czy je wydawał człowiek, czy zwierz, czy ptaki. Był to dźwięk nieokreślony rozplywający się w przestrzeni tak samo niepewny, jak falujące linje krajobrazu, jak wszystko tutaj dokoła. Bo całe otoczenie, tak co do zarysów jak co do barw przedstawiało się w kształtach ogromnych, ale dziwnie nieokreślonych, znikających wśród mgieł i mroków.

Czasem po oblanej białem światłem płaszczyźnie stepu przemknął jakiś cień czarny, lecz za chwilę zniknął, jak gdyby się zanurzył w wysokiej trawie, która kołysała się jak morze dokoła. W jednym miejscu, na wzgórk, migotał jasny punkt rozlewający czerwone światło w około siebie; można to było wziąć za ognisko pastusze, ale nie widać było przy nim

żadnych ludzkich postaci. Po pewnym czasie jednak zaruszało się coś w wysokiej trawie i kudłata głowa bawołu podniosła się, sennym okiem zdając się badać widnokrag. Obok niej ukazała się druga podobna głowa i trzecia i czwarta. Bawoły leżały w trawie nad jeziorkiem, pozostałem z wiosennych roztopów, szukając tam wilgoci, bez której żyć nie mogą. Skoro dochodziły do nich oddalone wycia, wyciągały szyję, wietrząc powietrze, czy nie dojdzie do nich zapach wilka, poczem dalej przeżuwały trawę spokojnie. Nieopodal na wzgórzu przy ognisku, leżało kilku uspionych pastuchów, odzianych w baranie skóry, tak, że na pierwszy rzut oka trudno ich było odróżnić od zwierząt. Byli to pasterze multańscy, pasący stada bawołów na szerokich pastwiskach stepowych. Ognisko było rozpalone dla odstraszenia dzikich zwierząt; to też od czasu do czasu któryś ze śpiących podnosił głowę i na pół sennym ruchem dorzucał do ognia garść suchego burzanu, poczem znów przylegał na ziemi i zasypiał. Ludzie to byli prawie zupełnie zdziczeli, a przytem leniwi i apatyczni jak całe ich plemię.

Trochę dalej, z okiem utkwionem w ognisko siedziała w kukki kobieta trzymająca dziecka na kolanach; płomień oświecał jej twarz wychudzoną i czarną, na którą spadały kosmyki włosów w nieładzie. Wśród twarzy tej, na której malowała się wydatnymi rysami cała nędra przebyta, świeciły jakimś posępnym blaskiem oczy zapadłe. Kołysząc dziecko na kolanach ruchem osłabłym szeptała coś do niego chociaż zdawało się spać w tej chwili. Czasem niektóre słowa głośniejsze wynosiła, a wtedy wznosiła oczy do nieba jak gdyby z modlitwą. Głowa jej poczęła się kłonić na piersi, wnet legła na trawie, przyciskając dziecko do łona. Z piersi jej wydobywał się oddech chrapliwy oczy się przemykały, ale nie tak jak do snu, widocznem było, że tej kobiecie niewiele chwil do życia pozostaje i że troska o dziecko jest jej ostatnią myślą.

Krótką noc czerwcową miała się już ku końcowi. Na wschodzie zajaśniała biaława smuga zwiastująca świt. Coraz jaśniej robiło się na niebie, blask księżyca stawał się coraz błękitniejszym a na wschodzie światłość coraz różowszą, wreszcie zorza poranna odbiła się w jeziorach, nad którymi białe tumany falowały i zmieniały kształty co chwila. Mgła, która wisała w stronie północnej, zaczęła przenikać różane blaski poranne, z poza niej zaś ukazały się skaliste wybrzeża Dniestru, a skoro słońce wysłało pierwsze promienie z zakrawędzi ziemi, zajaśniał wreszcie on sam spowity w tunan senny, leniwy, jednak piękny i wspaniały...

Jak tylko słońce weszło, natychmiast w stepie rozległy się pierwsze odgłosy życia, ptactwo podnosiło się ze swoich siedlisk nocnych, wydając krzyki donośne i krzące nad skałami i jeziorami, białe rybitwy przelatwały ponad błękitnemi w tej chwili falami Dniestru, które także zdawały się budzić powoli ze snu. Wiatr wiejący od stepu poczęł igrać z mgłą nadwodną, to uchylał jej rąbek leciutko, ukazując skały i ostrowy na Dniestrze, to znów opuszczał i czarowny obraz przeciwnego wybrzeża zniknął jak widmo. Wreszcie z poza mgły, gdzieś z oddalenia z przeciwnego brzegu rozległ się głos dzwonu porannego, słaby i przytłumiony, a jednak na dźwięk ten głowa kobiety uniosła się, a oczy zapalały dziwnym blaskiem. Słuchała go jakby w zachwyceniu cała drżąc, ze łzami w oczach, a on tymczasem płynął i płynął objając się o skały nadbrzeżne, łagodny a uroczysty jak modlitwa, jak witanie po długim niewiedzeniu najdroższej istoty. Twarz nieznanegoj kobiety mieniła się pod wpływem tych dźwięków czarodziejskich, lży płynęły wzdłuż lic wychudłych, usta szeptały jakieś słowa ciche i niewyraźne. Wreszcie, dobywając ostatniego wysiłku wzięła dziecko i uniosła je w górę, jakby mu chciała coś pokazać tam, w dali, kędy jej dusza się rwała. W tejże chwili jakby na skinienie czarodzieja mgła opadła niżej i na przeciwnym brzegu ukazała się skała pionowa, na szczycie której sterczały mury jakieś, najeżone basztami i zabłysnął krzyż świątyni.

Z tamąd to płynął ów dźwięk dzwonu, tak niezwykły wśród dzikiego stepu, a taki słodki dla wędrowca, który błą-



kał się oddawna po niezmierzonej pustyni. Dźwięk ten zwiastował że się wkraczało w kraj chrześcijański, że już nie potrzeba było się obawiać napaści budziackich Tatarów. Niezwykły wyraz błogości nie ustępował z twarzy kobiety, bezsilna opuściła się na zroszoną trawę, lecz oko nie przestawało wpatrywać się w błogosławiony brzeg przeciwny.

— Tymczasem pasterze przecierali oczy i poczęli podnosić się z ziemi, jeden z nich wstał, przeciągając się, a wzrok jego spostrzegł nieopodal leżącą kobietę.

— Hej, spojrzycie no, a to co za jedna? — zawołał podchodząc bliżej i przypatrując jej się. Zkądżeś się tu wzięła? — pytał, biorąc ją za ramię. Lecz kobieta widocznie go nie rozumiała, wzrok jej nieruchomy utkwiony był w dziecko do którego szeptała coś cicho.

— Coś ty za jedna, gadaj! pytali ją inni pastuchy, zbliżając się ku niej. Wówczas słabym złamanym głosem powiedziała im słów kilka w języku dla nich niezrozumiałym, wskazując przymtem na dziecko uśpione na jej łonie.

— Co ona mówi? — pytali jeden drugiego.

— Z jasyru pewnie wraca i aż tutaj się powlokła — ozwał się jeden nagle. Patrzcie, ma nawet ślady więzów na rękach i na nogach.

— Z jasyru, z jasyru — powtórzyli inni, nachylając się nad nieszczęśliwą, która równie patrzyła na nich, wciąż ukazując na dziecie. Na twarzy jej zbolelej i wychudzonej rozlewały się już cienie śmierci, jedne tylko oczy skupiły w sobie reszki życia. Pastuchy obstąpili je dokoła; na ich twarzach jednak nie widać było ani współczucia, ani nawet ciekawości wielkiej. Mało oni też widzieli umierających ludzi w stepie? Wzrok ich apatyczny i jakby senny spoczywał na twarzy biednej matki, która daremnie starała się dać im coś do zrozumienia. Wreszcie oczy jej wzniosły się ku niebu, jakby tam tylko szukając ratunku i miłosierdzia.

A dźwięk dzwonu płynął tymczasem wciąż i płynął po polach dniestrowych.

Nagle zatętniała ziemia zroszona, w oddaleniu ukazało się kilkunastu jeźdźców. Konie ich tonęły po brzuchy w wysokiej trawie, janczarki i rusznice sterczały im za plecami, wysokie baranie czapki okrywały głowy.

— To Lachy z od Dniestru poczęli mówić między sobą pastuchy i odeszli od umierającej spoglądając na oddział, który się przybliżał, podczas gdy ich towarzysze spędzali bawoły w gromadę. Jeźdźcy wreszcie podjechali ku miejscu gdzie leżała kobieta, twarze ich były tak czarne, jak gdyby wciąż się suszyły na wietrze stepowym. Z pod baranich czapek błyszczały wasy nastrozone.

— Hej! — krzyknął dowódzca na pastuchów — cóż to za niewiasta tu leży?

— Nie wiemy panie — odrzekł jeden z pastuchów. Kłaniając się aż do ziemi, przywlokła się tu w nocy, kiedyśmy spali a teraz ot, przyszło jej widać na koniec, bo ledwie dyszy.

— Pewnie z jasyru — ozwał się drugi.

— Ano, obaczymy zaraz — rzekł dowódzca. Na jego skinięci dwaj żołnierze zsiadli z koni i unieśli nieco kobietę, która spoglądała na wszystkich zagastym wzrokiem.

— Panie poruczniku, toć to biedactwo już kona — rzekł jeden zwracając się do dowódcy.

Dziecko — ozwał się ten ze zdziwieniem, spostrzegłszy dziecie, tulone do łona przez nieszczęsną matkę.

Na dźwięk ich mowy, usta jej poruszyły się i szepnęła te tylko słowa.

— Weźcie... dziecko... Ochrzczony z wody — dodała po chwili.

— Może ona tylko osłabła od długiej wędrówki, trzeba ją ratować — rzekł porucznik — podajcie no tam wódki — krzyknął na żołnierzy. Połano natychmiast wódkę w skórzanej butelce i przytknięto ją do ust kobiecie.

Ale dwaj żołnierze, którzy nachylili się nad nią, odrazu poznali, że to nie osłabienie a śmierć, bowiem oczy biednej matki zaszły już mgłą, a jednak wracały się jeszcze z błagalnym wyrazem to na ich ogorzałe twarze to na dziecko, które

już się przebudziło i zaczęło trzeć piąstkami oczy, cheiwie szukając piersi matczynej.

— Pono tej niebodze już niewiele się należy — ozwał się jeden z żołnierzy, podchodząc do dowódcy.

— A dziecko żywe? — spytał tenże.

— A no, żywe, dziw, że to się zachowało dotąd w stepie.

Dowódzca zeskoczył z konia zbliżył się do konającej. Był to człowiek stary już, ale barczysty i silny, przez twarz miał dużą szramę, a wasy sterczały mu jak dwie wiechy.

Skoro pochylił twarz swą, zarazem grozną ale i litościwą w tej chwili nad kobietą, ta spojrzała nań z takim błagalnym wyrazem w gasnących oczach, że stary żołnierz uczył się wzruszonym.

— Nie bój się, nie będzie krzywdy twemu dziecku — odpowiedział na jej niemą prośbę, my nie Tatarzy, ani zbóje, tylko żołnierze...

Na słowa te, twarz umierającej, na której dotąd widniała pewna obawa, nagle rozjaśniła się i zaczął na nią spływać spokój, który wygładzał to zmęczone, zczerniałe oblicze, powracając mu wyraz, którym jaśniało za czasów szczęśliwych. Jeszcze raz spojrzała na dziecko jakby je błogosławiąc, oczy jej zaszły zupełnie bielmem śmierci — i wydała ostatnie technienie.

Trzej żołnierze, znajdujący się przy niej uklękli, odmawiając „Wieczny odpoczynek”, towarzysze ich również pozejmowali czapki i modlili się w cichości.

A tymczasem nad stepem weszło słońce wspaniałe i obejrzało się po niezmiernym obszarze, zapalając ognie w kropkach rosy wiszącej na trawie i przenikając mgły, spoczywające nad Dniestrem. Z poza tej mgły wciąż płynął przytłumiony, niby z zaziemskich krain pochodzący, odgłos dzwonu w Bakocie.

— Requiescat in pace. Amen! — rzekł porucznik kończąc swoje modły.

Pastuchy stali, spoglądając na to wszystko okiem obojętnym, lecz i ich usta szeptały jakąś modlitwę.

— Ale czy zostawimy te zwłoki na pastwę dzikiego zwierza? — ozwał się po chwili stary dowódzca. To dusza chrześcijańska, pochować należy zwłoki przystojnie.

Natychmiast też trzech żołnierzy zabrało się do kopania mogiły dla zmarłej, a gdy była wykopana, złożono tam zwłoki i zasypano ziemią. Pierwej jednak dowódzca obejrzał czy niema przy nich czegośkolwiek, co by mogło posłużyć w przyszłości za dowód dla dziecka. Znalezione też na szyi zmarłej szkaplerz, bo inne kosztowniejsze rzeczy zwykle Tatarzy zabierali swoim jeńcom. Gdy zwłoki zostały zasypane ziemią, żołnierze jeszcze raz wszyscy uklękli i pochylili głowy, poczem, naciągawszy suchych badyli rozpalili ogień na jej mogile; aby zwierz stepowy jej nie rozgrzebał.

Jeden z żołnierzy wziął tymczasem dziecie, które dotąd spoczywało w objęciach matki; inni towarzysze obstąpili go dokoła. Dziwny widok przedstawiał ten człowiek, o twarzy surowej i ogorzałej, trzymający na ręku dziecie, które zdawało się nie obawiać go wcale. Wówczas dowódzca ozwał się do całej gromady:

— Owo naleźliśmy to dziecie na stepie i pono Bóg tak chciał, byśmy je wzięli w opiekę. Niechże tak będzie, weźniem je i staniem mu za ojca i matkę...

— Wiwat! Dziecko nasz! — zakrzyknęli żołnierze jednym chórem. Odtąd nikt tylko my będziemy jego opiekunami.

— Tak, tak, choregiew będzie mu ojcem i matką!

Czapki poleciały w górę z wielkiego zapalu, śmierć bowiem dla tych ludzi była rzeczą zbyt zwyczajną aby się jej widokiem mieli na długo przejmować. Jeden z żołnierzy na znak wielkiej uciechy strzelił w powietrze z pistoletu, że aż dziecko zaczęło płakać, za co został zgromiony przez kolegów, odrazu przejętych swą rolą nianiek i opiekunów.

— A teraz, na koń! — krzyknął dowódzca, gdy wszystko skończono. Żołnierze wskoczyli na siodło; jeden z nich



ten, który najpierwej zabrał dziecko od zmarłej, wziął je przed siebie na konia i tak jechał co pobudziło do żartów jego towarzyszy. On jednak znosił to bardzo spokojnie jakby się to jego wcale nie tyczyło. Ten spokój i cierpliwość dziwnym się wydawał przy jego silnej, barczystej postaci i marsowatej twarzy, na której malowała się odwaga, zmieszana z jakąś dobroduszością.

— Z tego Bandury niezła niańka! mówili żołnierze mrugając na siebie, gdy on właśnie o mało co nie wypuścił dziecka z rąk, gdy koń mu się potknął, wjeżdżając na prom, którymu mieli się przewieźć na drugą stronę.

— On by lepiej Tatarzyna poniańczył — dodał drugi.

— A nie upuść dziecka do Dniestru! napominał trzeci.

— Nie wasz kłopot! — odburknął Bandura — potrafię ja dziecku dać radę lepiej od was.



Małżonka emira Druzów.

— A cóż to ty myślisz, że on twój tylko? Cała nasza komenda ma nad nim prawo opieki!

— Już ja go nie skrzywdzę, bądźcie spokojni — odpowiedział Bandura, podczas gdy dzieciak przebudzony, chwycił się go rękami za szyję i coś zaczął nawet belkotać wołając mamy. W tej chwili właśnie oddział przebywał Dniestr zostawiając za sobą mogiłę, na której dogasł już ogień...

## II.

Oddział ów, który tak się zaopiekował sierotą, należał do milicji miasta Bakoty i zostawał pod dowództwem pana Wreszczatyńskiego pochodzącego z okolicznej szlachty, podczas gdy podkomendni jego, była to wszystko ludność miejscowa osiadła lub napół osiadła, ale nie szlacheckiego stanu. Objężdżali oni okolicę, nierzadko zapuszczali się w step budziacki, próbując czy nie upatrzą Tatara w pobliżu, albo też jakiego innego łotryka. Wracali właśnie z takiej wycieczki, na której nie nie upolowali tym razem i spieszyli do mia-

sta by donieść panu komendantowi, że w okolicy spokojnie i że wszelkie hultajstwo śpi i nie daje znaku życia. Skoro też prom przybił do brzegu, pan Wreszczatyński natychmiast uszykował swój oddział i skierował się z nim do zamku, wznoszącego się na sąsiedniej górze obok klasztoru.

(d. c. n.).

## Trzy wielkie wystawy tegoroczne.

### I.

Koniec XIX stulecia odznacza się mnóstwem wystaw. Dawniej urządzały się one daleko rzadziej i budziły większą ciekawość, w ostatnich czasach z rozwojem przemysłu i handlu, powtarzają się coraz częściej.

Wystawy bywają powszechne, międzynarodowe, oddzielnych krajów, prowincji lub miast i wreszcie pewnych tylko gałęzi przemysłu lub specjalności, jak na przykład nasza wystawa higieniczna, o której niedawno pisaliśmy, wystawa elektryczna, rolnicza i t. p.

Naśladownictwo, wrodzona ludziom chęć prześcignięcia drugich, oraz pragnienie ściągnięcia jak największej ilości zwiedzających, których większość, niestety, nie umie ocenić wewnętrznej wartości okazów, sprawiły, że wystawy przybierają coraz bardziej wspaniały i malowniczy wygląd zewnętrzny. Urządza się one zwykle na olbrzymich placach, przemienionych w przeszliczne parki; budynki wystawowe z żelaza i drzewa przedstawiają się większe jako ogromne, fantastyczne pałace, mniejsze, jak lekkie, zgrabne pawilony. Oprócz właściwych okazów zawierają wystawy jeszcze mnóstwo rozrywek i osobliwości, nęcących wszystkich zarówno specjalistów, jak i zwyczajnych widzów a nawet dzieci. Do takich osobliwości należą fontanny barwne, dziwaczne budowle, jak wieża Eiffel, balony na uwięzi, teatru i różne widowiska. Odtwarzają tam także nieraz ze ścisłością historyczną dzielnice miast całych z różnych minionych epok, jednym słowem, na każdej wystawie można wiele skorzystać i zabawić się dobrze, a dla przemysłu krajowego, dla zawiązania i ułatwienia stosunków handlowych, oraz dla wzajemnego zapoznania się specjalistów jednej i tej samej gałęzi z różnych krajów, są one nader pożyteczne. Za pomocą też wystaw, byleby nie zbyt częstych, przekonać się można najłatwiej o rodzaju i udoskonalaniu się wszystkich gałęzi działalności ludzkiej.

Trzy wielkie wystawy tegoroczne otwarte zostały w Niższym-Nowogrodzie, Berlinie i Peszcie. Wybór miasta ma niepoślednie znaczenie przy urządzeniu większej wystawy, gdyż od mniej lub więcej dogodnego położenia jego zależy nieraz powodzenie wystawy.

Niższy-Nowogród leży przy ujściu rzeki Oki do Wołgi. Jest to miasto pierwszorzędного znaczenia handlowego, gdyż w niem od początku bieżącego stulecia odbywają się corocznie w lipcu i sierpniu olbrzymie jarmarki, na których wyroby przemysłowe Zachodu zamieniają się na surowe materiały, które produkują wschodnie części Rosyi i Syberyi, oraz na wyroby krajów azjatyckich, Persyi, Chin i Japonii.

Na prawym, wysokim brzegu Oki, mieści się właściwe miasto, liczące zwykle około 60,000 mieszkańców, na lewym zaś, niższym, drugie miasto budynków jarmarcznych, które zapełnia się latem, tłumem przyjezdnych, a napełnia się nie na żarty, bo w tym czasie liczba mieszkańców podnosi się do dwóchset tysięcy. Rycina, którą podajemy, przedstawia właśnie wspaniały gmach głównego budynku targowego. Na lewym brzegu Oki niedaleko od placu jarmarczniego, leży także park wystawy, zajmujący 77 dziesięcin, czyli około czterech włók i połączony z właściwym miastem koleją elektryczną.



Całość wystawionych okazów podzieloną została na 20 działów; cztery z nich — górniczy, rzemieślniczy, tkacki i sztuki stosowanej, mieszczą się w głównym gmachu, mającym kształt olbrzymiego pierścienia ze skwerem w pośrodku, a inne w oddzielnych pawilonach, symetrycznie dokoła rozrzuconych.

Do najciekawszych działów z powodu swej rzadkości należy dział Syberyjski handlu z Chinami i Japonią, dział Azji środkowej i handlu z Persją, oraz dział krańcowej północy. Wiele jest tam rzeczy niezmiernie ciekawych i rzadkich do widzenia. Dział północny przedstawia okazy z nad brzegów Oceanu Północnego, bardzo mało znane. Jest tam rodzina Samojedów, mieszkająca w chacie własnej, we wła-

## DRUZOWIE.

Wzdłuż brzegów morza Śródziemnego, w miejscu gdzie niegdyś znajdowały się siedziby znanych w starożytności z przemysłu, wynalazków i żeglugi Fenicyan, ciągnie się pasmo gór Libańskich. Dość jest otworzyć Stary Testament, w miejscu gdzie jest mowa o zbudowaniu pierwszej świątyni ku czci prawego Boga, ażeby tam napotkać wzmiankę o olbrzymich cedrach, dostarczanych na ten cel z gór Libańskich Salomonowi, przez króla Hiram. Piękne te drzewa, lubo już nie w tak znacznej ilości jak za owych czasów,



Wielki dom targowy w Niższym Nowogrodzie.

ściwych sobie ubraniach, żyjąca tu wśród tysiącznego tłumu, jakby w swojej odludnej i mroźnej krainie. Pokazują tam także tresowaną fokę. Niezgrabne to zwierzę morza północnych, wzbudza ogólny śmiech i zadowolenie widzów swoimi sztukami, które spełnia z właściwymi sobie niezręcznymi ruchami.

Do wspanialszych budynków prócz gmachu głównego, o którym już wspominaliśmy, należą jeszcze: pawilon Cesarzowski, sztuk pięknych z wyniosłą kopułą, Azji środkowej i hal maszyn. Na około parku wystawowego dla ułatwienia komunikacji, przebiega węzeł kolej elektryczna.

Wystawa w Niższym-Nowogrodzie otwartą została 21 czerwca, a trwać będzie podobno do późnej jesieni.

znajdują się dotąd w tamtych stronach. Wzmiankowane góry, dzielą się jak wiadomo, na dwie części, to jest, na Liban i Antiliban, u stóp którego znajdują się źródła świętej rzeki Jordanu.

Otóż właśnie w tem miejscu, od Bejrutu, aż do Sur czyli starożytnego Tyru i od morza Śródziemnego do Damaszku, zamieszkuje plemię syryjskie, znane pod imieniem Druzów. Ogólna jego liczba dochodzi zaledwie do 100,000, a i ta w północnych okęgach pomieszana jest z nieprzyjawnymi sobie Maronitami, w południowych zaś z Grekami i Melehitami. Najczystsza ludność druzyjska znajduje się jedynie w okolicach Libanu.

Plemię to wyznające religię, w której obok pierwotnego syryjskiego kultu, napotykanym mieszaninę zarówno mahometanizmu jak i chrystyanizmu, nie posiada wcale kapłanów, chociaż ma domy modlitwy zwane chałwels, gdzie przechowują pismo odnoszące się do pojęć o bóstwie i duszy, oraz sztan-



dary wojenne. Wszyscy członkowie tych dziwnych przekonań religijnych, sami siebie nazywają Mudhidami. Dziwniejszem jest jeszcze u nich urządzenie narodowe, pomiędzy zwierzchnością i podwładnymi. Jest to coś na podobieństwo szlacheckiej rzeczypospolitej, na czele której stoi, tak zwany pierwszy pomiędzy równymi. Wszystkie zaś rodziny szlacheckie dzielą się na szejków i wyższych od tychże emirów. Turecki tytuł beja, jest tu również od pewnego czasu używany. Reszta narodu, to jest lud prosty, albo chłopci, zależą bezpośrednio od swoich panów, którym dobrowolnie składają od wieków nałożoną daninę. Na wojnę ciągną wszyscy zgodnie, pod dowództwem właściwych bejów i emirów.

Wizerunek małżonki jednego z takich emirów, podajemy tutaj dla oryginalności jej stroju. Na głowie pokrytej złocistymi opaskami, zdobnemi w drogie kamienie i perły, ma ona przytwierdzony srebrny, rzeźbiony, wysoki róg, od którego spływająca muslinowa zasłona, pokrywa dokoła całą jej postać i szatę przetykaną złotem i klejnotami.

Druzowie libańscy dzielą się na dwa polityczne stronnictwa: Dżumblatich i Jezbeckich, będące w ciągłej waśni pomiędzy sobą. Waśnie te wielokrotnie zakończone okrutnym krwi rozlewem, doprowadziły w r. 1860 do tego, że z wdaniem się głównie Francji i Turcji, ustanowiono tu chrześcijańskiego gubernatora, dla powściągnięcia wzajemnych napaści.

Ziemia, którą zamieszkują Druzowie, jest bardzo żyzna i przy starannej uprawie, wydaje obfitość zboża, tytoniu, win, jak również morwy i oliwne drzewa.

## BIAŁA PANIENKA.

OPOWIADANIE Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

(Dokończenie).

Pan ile razy powrócił z wojny, uganiał się tylko po lasach za grubą zwierzyną, albo siedział zamknięty u siebie, bo nie mógł znieść widoku swojej żony zawsze smutnej i zapłakanej. A miała też czego płakać ta biedna, pani, bo ile razy odchowala sobie dzieciątko, ni ztąd ni zowąd przypadała na nie choroba i padało jak kwiatek kosą podcięty. Pięć już małych trumienek stanęło w podziemiach kaplicy zamkowej, a pani kasztelanowa siedziała właśnie cała we łzach przy łóżeczku jedynej pozostałej córeczki Anusi, tak bladej i mizernej, iż zdawało się, że jej duszyczka uleci lada chwilę, za swoim rodzeństwem, kiedy wtem weszła do komnaty stara ochmistrzyni z oznajmieniem, że jakiś pielgrzym wracający z długiej wędrówki po świętych miejscach, prosi o gościnę w zamku. Dobra pani kazała go przyjąć jak najlepiej i po chwili sama zaszła do jadalni, chcąc się przekonać czy dobrze spełniono jej rozkazy. Pobożny pielgrzym zobaczywszy jej twarz zmienioną i zapłakane oczy, zaczął się dopypywać o powód tak ciężkiego smutku i nagle jak gdyby jakimś duchem natchniony, poradził jej, ażeby to dziecię zagrożone śmiercią, ofiarowała Bogu, a wtedy niezawodnie ozdrowieje. Pani kasztelanowa, której świat od dawna przestał się podobać, z radością posłuchała tej rady i wkrótce także zdołała przekonać swego męża, jakie to będzie szczęście dla nich obojga, kiedy zamiast opłakiwać stratę Anusi, widzieć ją będą oblubienicą Chrystusową. Stało się więc na tem i odtąd mała kasztelanowa cudem odzyskawszy zdrowie, chowała się pomyślnie, stając się z każdym dniem piękniejszą i więcej roztropną. Tak tedy mijał rok za rokiem, a oboje państwo zawczasu uwiadomiwszy córkę o jej przyszłym przeznaczeniu, oczekiwali już tylko stosownej pory, ażeby ją zawieźć do klasztoru, co wznosił się wówczas właśnie na owym wzgórzu, wśród gęstego dębowego lasu, gdzie to panicz

usłyszał niedawno śpiewanie słowika. Sama też panienka z początku nie pomyślała ani na chwilę, żeby się sprzeciwiać ślubowi rodziców, przez który oni niegdyś uprosili jej życie u Boga i chętnie zgodziła się na wszystko. Zamieszkawszy w klasztorze nie zdawała się wcale tęsknić do uciech światowych i nigdy nawet nie zwróciła uwagi na to, że była cudownie piękna. Ale za to zły duch co się nieraz uweźmie nie wiedzieć kład na biedną duszę ludzką, podpatrzył tę śliczną urodę kasztelaniki i przez nią umyślił zgutować jej zgubę. Tymczasem dni mijały Annie na zwykłych przygotowaniach, a zakonnice, które ją szczerze polubiły, cieszyły się niezmiernie kiedy się już nareszcie zbliżył czas jej obłóczyn. W klasztorze zaczęto też powoli czynić przygotowania do tak wielkiej uroczystości. Sam biskup na uroczystość przybył z miastą już od rana cały kościół przystrojony mnóstwem kwiatów i bogatych kobierców, zaledwie mógł pomieścić tłumy panów, pań i duchowieństwa, co się tu pojeżdżały na obłóczyny córki możnego kasztelana. Ale nagle zrobił się wielki popłoch, bo dwie młode zakonnice wysłane przez matkę przełożoną dla sprowadzenia nowicyuszki, powróciły z płaczem oznajmiając, że jej nigdzie nie mogły znaleźć. Ciała była pusta; znikły również biała suknia, welon i kwiaty przygotowane do obłóczyn. Napróżno nie tylko cała służba klasztoru, dworzanie kasztelana, a nawet i młodsze duchowieństwo porozbiegawszy się na wszystkie strony, szukały nowicyuszki — nie znaleziono jej nigdzie, przepadła jak kamień rzucony w wodę.

— O biedni rodzice! — przerwał Staś.

— Tak, biedni paniczu! — ciągnął dalej Jacek, bo dopiero coś w tydzień znaleźli jej trupa w najgłębszych zarostach lasu w pobliżu jeziora. Ale to co później nastąpiło było jeszcze okropniejsze, bo do zamku przysła jednego dnia stara Brygida, pobożna kobieta co mieszkała przy klasztorze i opowiedziała obojgu państwu, że jej się we śnie pokazała ich córka i powiedziała jako nie może znaleźć odpoczynku w grobie i dopóty będzie się musiała błąkać po świecie, dopóki się nie znajdzie ktoś dobry i odważny, co by ośmielił się zbliżyć do niej i powiedzieć:

— Pójdź Anno! nadeszła chwila twego wybawienia, oto ja sam odprowadzę cię do klasztoru.

— Czyż to być może mój Jacku! żeby przez czas tak długi nie znalazła dotąd nikogo co by to wyrzekł?

— Nie tak to łatwo, jakby się paniczowi zdawało, kiedy dotąd nikt się nie mógł na to zdobyć. Strach okrutny padł od owego czasu na całą okolicę, dziedzice osiedliś w dalszych stronach, a zamek powoli rozpadł się w gruzy, tak że ani jedna cegiełka z niego nie pozostała. Tenże sam los spotkał klasztor, pozostała z niego tylko stara kapliczka z posągami Matki Boskiej przyparta do szczątków muru. Rzadko tam kiedy ktoś z ludzi zachodzi i tylko ogromna moc ptactwa, gnieźdzącego się swobodnie przyspiewuje całe lato. A biedno biała panienka jak się błąkała tak i błąka się po świecie nie mogąc znaleźć końca pokuty.

— A ty czy ją kiedy spotkałeś?

— O Jezu! Jezusieńku! co też to panicz wygaduje! Ja miałbym widzieć takie widmo! Chybabym już nie żył albo przynajmniej ciężko chorował, tak jak Kuba Młynarczyk, co ją zobaczył zdaleka nad starem jeziorem. Leciła ona tam na długich, białych skrzydłach, to wyciągając się, to kurcząc pomiędzy drzewami, a szatan wciąż ją ścigał migocząc ognistymi oczami. Chciał ją widać niebogie na zawsze sobie przywłaszczyć, boć to on, a nie kto inny, jak powiedziała Brygida podał jej do rąk zwiercadło i sprawił to, że pożałowawszy swojej swobody, nie chciała przyjąć sukni zakonnej, ratując się od niej ucieczką, w której śmierć znalazła zabłąkana w dzikim borze. No, ale już teraz nie powiem więcej ani słóweczka, bo i tak ściemniać się zaczyna i mogłoby nas spotkać jakie nieszczęście.

— Mnie jakoś strach nie bierze! — zaśmiał się chłopiec. Księżyc świeci tak pięknie, że chętnie zgodziłbym się pozostać tu jeszcze z godzinę, z warunkiem, żebyśmy sobie mogli trochę wypocząć i posilić się po drodze.



— Jeszcze czego! — zaprotestował Jacek — już i tak zapewne pan zbурczy mnie za opóźnienie, a stary Szczepański zaklnie i wyszturga za to, że się próżno na nas wyczekał... Ach, Jezus! Marya! — krzyknął nagle zmieniając głos. Czy widzi panicz, co to tam stoi ponad rowem?

Staś chciał coś odpowiedzieć, ale towarzysząc go z niesłychaną szybkością pobiegł w przeciwną stronę, on zaś sam obróciwszy się ku wskazanemu miejscu, zbladł nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Jaktó! a więc opowiadanie Jacka mogło być prawdą? A więc pomimo zapewnienia matki i nauczyciela strachy rzeczywiście istniały na świecie! Tuż bowiem, ponad rowem, stała biała panienska, o której opowiadanie uważał jeszcze przed chwilą za bajkę? Tak, to nie mógł być nikt inny, tylko ona sama. Ale jakaż piękna! jakaż dziwnie wiotka i bledziuchna, przy świetle księżyca. Wysmukłą jej postać, osłaniała śnieżnej białości suknia, a głowę z której prawie aż do ziemi zwisały się dwa jasne warkocze, okalał wianek z polnych kwiatów, w jednej ręce trzymała sporą wiązanke konwalii, drugą zaś dawała znaki Stasiowi, ażeby się do niej zbliżył.

Chłopiec stał przez chwilę jak wryty, lecz kiedy nie przestając na znakach zaczęła się zwolna zbliżać, poczuł nagle tak głęboką litość dla nieszczęśliwej pokutnicy i bohater-ską chęć jej wybawienia, że pomimo całej trwogi, postanowił przyjść jej z pomocą. Przeżegnawszy się więc pobożnie, jednym susem przeskoczył na drugą stronę rowu i zawołał.

— Wszelki duch pana Boga chwali!

— I ja go chwale! — odpowiedział mu głos dziwnie dzwięczny i słodki.

— To już dobry znak — pomyślał — potępieniec nie przemówiłby tak do mnie... I nagle przypominając sobie niedawno zasłyszane słowa, dodał bez namysłu:

— Pójdź Anno! nadeszła chwila twego wybawienia, oto ja teraz sam odprowadzę cię to klasztoru!

— A zkądże znasz imię moje? — zapytała — miałe-byś należeć do służby mego ojca?

— Nie należę do niczyjej służby, nazywam się Stanisław Chrobrzycki! — odrzekł z pewną dumą chłopiec. Ale w twoich stronach wszyscy znają twoje imię, biedna kasztelanko!

Po twarzy białej dziewczicy przemknął lekki uśmiech.

— Czas też wreszcie już było położyć koniec tej biedzie — wyszeptała zcicha.

— O! bo to musiało być prawdziwie okropne, błąkać się po tej ziemi przez paręset lat może, — rzekł chłopczyk.

— No, to znowu byłoby trochę za długo! — przerwał widmo — ale w każdym razie dobrze odpokutowałam za moją płochość i nieposłuszeństwo.

Po tych słowach nastąpiło zupełne milczenie, wpośród którego dziwna ta para posuwała się lekko obok siebie ku zwałiskom starego klasztoru, tak dobrze zapamiętanego od Stasia. Pomimo niezwykłych okoliczności, jakie poprzedziły jego spotkanie z białą panienską, szedł dotąd obok niej dość spokojnie, ciesząc się z blizkiego kresu tej wcale niepożądaney wycieczki.

— Ach! Bogu dzięki! — zawołało nagle widmo, kład-nawszy w ręce — teraz trafiłabym i sama. Czy słyszysz?

Trudno było nie słyszeć na tak krótkiej odległości. W głębi dębowego zarośla musiało się w owej chwili dzieć coś niezwykłego. Jakieś niewielkie światła migotały tu i owdzie, słyhać było jakiś tajemniczy szelost, po niejakin zaś czasie, rozległo się trzykrotnie głośnie wołanie: Anno! Anno! Anno!

Staś pobladł na nowo i nie mógł ruszyć się z miejsca, ale wtedy biała panienska pochwyciwszy go silnie za rękę, po-ciągnęła za sobą, odpowiadając na usłyszane wezwanie:

— Jestem, jestem kochany ojczuniu! Ależ nabłąkałam się tuż nieważko i gdyby nie ten poczciwy chłopczyzna, który z narażeniem własnego bezpieczeństwa, podjął się odprowa-dzić mnie do klasztoru, kto wie czy nie musiałabym przepe-dzić noc w lesie.

To mówiąc biała panienska rzuciła się na szyję jakiemuś bardzo poważnemu wysokiemu mężczyźnie, całkiem niepodob-nemu do nieboszczyka kasztelana, ojca nieszczęśliwej no-wicyuszki. Pan ten stał teraz w pełnem oświetleniu przed Stasiem, spoglądając ze wzruszeniem to na niego, to na swo-ją córkę, nie zdając się rozumieć o co im właściwie chodziło. Wkrótce nadeszło z latarniami dwóch służących, wcale do duchów niepodobnych.

— Tomasz! — rzekł do jednego z nich ojciec Anny — spiesz natychmiast do czekającej w powozie pani z oznajmie-niem, że nasza zguba już się znalazła.

Tu mniemane widmo odezwało się pokornie:

— Nie wiem jak będę śmiała stanąć teraz przed mamą, którą przez chęć uzbierania tej wiązanke konwalii, takiego nabawiłam niepokoju, ale chociaż z całej duszy żałuję mojej nierozwagi, muszę jeszcze wprzód zwrócić się do ciebie naj-droższy ojczuniu, ażebyś mi dopomógł wynagrodzić winę, jakiej się dopuściłam względem tego szlachetnego chłopca! — dodała, wskazując Stasia — występując przed nim w roli ducha białej panienski, o której nasłuchiwałam się wczoraj opo-wiadania, a za którą wziął mnie gdy się ukazałam.

— Ale to była moja wina — zaprzeczył mały wędro-wiec; — bo sam nie pojmuję jak mogłem tak dalece zapo-mnieć przestróg matki i nauczyciela, ażeby na widok pani, uwierzyć w bajkę opowiadaną mi w drodze przez zabobonne-go wiejskiego chłopaka.

— A jednak uwierzywszy na razie w pokutę kasztelan-ki, umyśliłeś pomimo własnej trwogi, zakończyć ją tak wiel-kim poświęceniem!

— Zwłaszcza będąc tak młodym i nieobeznanym z tą okolicą, w której i my dopiero bawimy od kilku tygodni. Je-steś zacnym, szlachetnym chłopcem, godnym największej wdzięczności ze strony tej płochej figlarki Anny i jej rodzi-ców. Ale powiedz-że mi nareszcie, jakim szczęśliwym tra-fem, znalazłeś się na drodze w chwili, kiedy Anna zabłąkaw-szy się w lesie, dostała się nareszcie ponad brzeg rowu, gdzie tak niespodzianie ukazała się twoim oczom?

Staś z całą szczerością opowiedział swoją podróż wraz z przygodami w towarzystwie Jacka, nie tając, że odbywał ją jedynie w skutek woli matki, niezamównej wdowy po urzędni-ku w P., która nie posiadając dostatecznych środków do od-dania swego jedynaka do gimnazjum w Kielcach, zwróciła się do znanego sobie dobrze pana Łazickiego, bogatego dzier-żawcy w tych stronach z prośbą, ażeby jej w tem dopomógł. Ów pan Łazicki człowiek jak się pokazało niezmiernie oszczę-dny, nie odmówił tej prośbie, lecz wprzód zażądał zobaczyć młodego chłopca, ażeby się przekonać, czy tenże zasługiwał na tę pomoc.

— Ale teraz bardzo się boję czy p. Łazicki nie rozgniewa się na mnie! — zakończył z westchnieniem.

— Gdybym był nim — przerwał ojciec panienski — to najprzód rozgniewałbym się na samego siebie za stawianie wa-runków tak niepotrzebnych, a następnie za dodanie takiego przewodnika podróży, co drapał przy pierwszym, choć tylko mniemanem niebezpieczeństwie.

— I zabrał z sobą moją torebkę podróżną z trochę lepszego ubrania, którą gotów gdzie zgubić w drodze do Nie-gościce.

— Niegościce o ile mi się zdaje, leżą stąd bardzo blisko, a twoją stratę odzyskasz zapewne razem z dzielnym przewo-dnikiem.

— Pan Łazicki pisał właśnie, że przybycie Jacka do naszego miasteczka po jakieś urzędowe papiery, było jedyną sposobnością do poznania mnie; trudno się więc było walczyć, zwłaszcza, że chciałbym jeszcze skorzystać z wakacji dla przygotowania się do egzaminu.

— Jestem pewną, że doznasz powodzenia i ubierzesz się niebawem w nowiuteńki mundur, w którym będzie bardzo do twarzy, takiemu dzielnemu zuchowi! — wtrąciła figlarnie Anna.

— O! jeżeli tak będzie, nie zapomnę nigdy, że mi to przepowiedziała biała panienska.



— Przepraszam państwa—przemówił w tej chwili siwo-  
włosy służący, zbliżając się z latarnią — ale historia o białej  
panience o ile wiem od starszych ludzi, nie musi być całkiem  
fałszywą. Przecież rodzice jej mieszkali rzeczywiście w tych  
stronach a nawet nosili toż samo nazwisko, co i jaśnie wiel-  
możni państwo.

— Tyle też jest prawdy w tem wszystkim, że jeden  
z naszych przodków po którego bezpotomnej śmierci młodsza  
linia odziedziczyła zamek i włości, poniósł rzeczywiście bole-  
sną stratę, pogrzebawszy kolejno czworo starszych dzieci,  
a w końcu najmłodszą córkę Annę, zmarłą nagle przed zło-  
żeniem ślubów zakonnych, reszta zaś jest prostym wymysłem  
przypiecionym przez zabobonnych ludzi do jej wspomnienia.

— A jednak mówili mi bardzo wiarogodni ludzie, że  
o parę wiorst stąd widywali nieraz sami nad czarnem jezio-  
rem w lesie, straszliwe jakieś duchy z ognistemi oczami, co  
ścigały jakąś białą postać, która później ni ztąd ni zowąd zni-  
kała pomiędzy drzewami.

— Postaram się wkrótce żeby twoi wiarogodni ludzie  
nie byli długo narażeni na spotkanie tych okropnych stra-  
szydeł, mam bowiem zamiar oczyścić ów staw zwany od nich  
tak szumnie: czarnem jeziorem, a skoro w wodzie zaczną się  
pluskać ryby, a brzegi pozbędą się bagnistej wilgoci, wówczas  
swawolne duchy powędrują sobie gdzieindziej na swoje lulan-  
ki, zamiast szarpać białą sukienkę, to jest gęstą mgłą jaka  
się tam szczególniej przy znaczniejszem ochłodzeniu tempera-  
tury gromadzi!

Na tem skończyły się wyjaśnienia, które przerwała  
uszcześliwiona matka Anny, spiesząca skwapliwie naprzeciw  
męża i córki.

Jakie przyjęcie spotkało Stasia w Niegościcach, kiedy  
w pół godziny potem wysiadał przed domem z odwożącego go  
powozu, o tem nie możemy dokładnie objaśnić czytelników,  
pan Łazicki jednak nie musiał się okazać zbyt hojnym, gdyż  
zaczyna wdowa z niemalym niepokojem oczekiwała końca wak-  
acyi, spieniężywszy ostatnie łyżki srebrne, jakie jej z zamo-  
żniejszego niegdyś gospodarstwa pozostały.

Z początkiem roku szkolnego udała się wszakże do  
Kielc, gdzie ku jej wielkiej pociesze Staś zdał świetnie  
egzamin. Powróciwszy do jednego z najskromniejszych za-  
jazdów, gdzie stanęła z synem, obliczała właśnie ile jej  
jeszcze pozostanie pieniędzy na opłacenie stancyi i kupno  
potrzebnych książek, kiedy w tem zapukano do drzwi i siwo-  
włosy służący, którego rysy wydawały się jakoś dziwnie znajomo  
Stasiowi, złożył na stole sporą paczkę zaadresowaną do pani  
Chrobrzyckiej, poczem skłoniwszy się głęboko odszedł na-  
tychmiast. Była to posyłka niepospolitej wartości dla przy-  
szłego gimnazysty, znalazł w niej bowiem wszystkie potrzebne  
książki starannie poprawiane, na samym wierzchu kopertę  
z napisem: „Na szkolne potrzeby Stasia, od białej panienki”  
a przytem liścik, w którym panna Anna polecała mu, aby  
gdy dorośnie i sam zacznie zarabiac na swoje utrzymanie, od-  
dał tę kwotę młodemu jakiemuś chłopcu na opłatę szkolną.

Nie potrzebujemy nawet zapewniać czytelników, że się

okazał godnym tej wspaniałomyślnej pomocy, i że przy wr-  
dzonych zdolnościach i dobrem sercu, obrał sobie za jedyn  
cel życia, wypłacenie się z podwójnego długu wdzięczności.

E. L.

## Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Pierwszy śledź. — Niezwykłe potrawy.

Oddawna panuje w Amsterdamie zwyczaj iż coroczni  
pierwszy nowo-złowiony śledź uroczystie doręczany bywa kró-  
lowej-regentce. Szczęśliwi rybacy holenderscy, którzy g-  
złowia, przystrajają się do tej ceremonii w pomarańczow-  
wstążki i ubranym we flagi i zieleni powozem jadą do zam-  
ku królewskiego, gdzie otrzymują podarek pieniędzy. Wpo-  
czątkach mają dwaj rybacy z Blaarding udali się w ten  
sposób do zamku Soestdijk, leżącego w pobliżu Utrechtu  
i złożyli dar swój królowej-regentce, która wraz z mał-  
królową bawiła tam kilka tygodni. Przyjęci bardzo uprzej-  
mie, suto jak zwykle obdarowani zostali.

Jeden z misjonarzy afrykańskich opowiada o niezwy-  
kłych potrawach, pojawiających się nawet u Europejczyków  
na stole w Kongo. Zwyczajnie, mówi on, mamy tu tylko zo-  
zwierzyny gołębie, turkawki i antylopy. Innego razu upolo-  
wano nam dużą małpę, stołownikom naszym z małemi wyjąt-  
kami, nowe danie bardzo smakowało. Pieczeń stała jeszcze  
na stole, gdy zjawili się trzech agentów świeżo przybyłych  
po długiej podróży z karawaną z Europy i zabrali się z wiel-  
kiem apetytem do „cząbra zajęczego”, jak twierdzili sami. Po-  
zostawiono ich w tem mniemaniu, dopóki jedli. Pierwszy  
z nich po skończonym obiedzie zapytał, czy dużo jest zajęcy  
w okolicy. W odpowiedzi dał się słyszeć głośny śmiech. Aby  
przekonać tych panów, że jedli prawdziwą małpę, a nie zajęcy,  
musiano pokazać im głowę zwierzęcia. Jeden z nich niezwło-  
cznie zerwał się z miejsca z powodu napadu choroby, bardzo  
przypominającej morską... Bywają tu takie przysnaki, które  
z początku przejmują nas wstrętem. Koń rzeczny np. jest zwie-  
rzciem olbrzymiem i szkaradnem, ale mięso z niego jest wy-  
borne, zwłaszcza jeżeli nie pochodzi ze starej sztuki. Pieczeń  
z młodego konia rzeczno przypomina w smaku najlepszą  
cielęcinę. W misyi francuskiej „Brazzaville” miałem raz  
sposobność skosztowania głowizny ze słonia, jest ona dosko-  
nała, tylko przygotowanie jej jest przecież kłopotliwe. Naj-  
pierw kopie się w ziemi dół i wysypuje się go żarzącemi wę-  
glami, kładzie się potem w niego głowiznę owiniętą liśćmi  
bananowemi, przysypuje węglami i piaskiem. Po 24 godzi-  
nach można już ją podać na stół. I ogon krokodyla gotowa-  
ny i potem przez dłuższy czas duszony w maśle uważany tu  
bywa za przysnak.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Uczta na pniu drzewa (z drzew.) — Odzyskany, powieść przez Maryę Łopuszańską. — Trzy wielkie wystawy tegoroczne  
(z drzew.) — Druzowie (z drzew.) — Biała panienka. Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Z dalekiego świata. — **Dodatek:**  
Mały bohater, wiersz przez E. L. (z drzew.) — Z dziennika Marylci przez Maryę Weryho. — W lasku przez H. G.—t. — Mali  
Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązania. Dodatek książkowy: Orla skała, powieść  
miss K. Yonge przekład T. O.



# WIECZORY RODZINNE



## MAŁY BOHATER.

Jaś, to śmiałek co się zowie,  
Chęć mu walki z oczu try ska.  
Hełm z papieru ma na głowie,  
A szabelkę w ręku ściska.

Butną miną ludzi straszy,  
Alboż może znać on trwogę?  
A w tem krowa co szła z paszy,  
Zaszła mu przypadkiem drogę,  
Cóż to znów? czy wzrok mnie myli?  
Naraz Jasiem strach owłada,  
A szabelka w jednej chwili,  
Z bohaterskich rąk wypada.

Krowa idąc nagle ryknie,  
A Jaś już bez żadnej broni,  
Biegnąc, drżącym głosem krzyknie:  
„Gwałtu! straszny zwierz mnie goni!  
W suknię mamy więc się chowa,  
Cały drżący, prawie chory,  
A tymczasem nasza krowa,  
Idzie sobie do obory.

E. L.

## Z DZIENNIKA MARYLKI.

*Dzień pierwszy.*

Jaką wyborną myśl miał ojczulek wyjechania na wiaś! Ile przyjemności, ile rozrywek. W Warszawie,

Dodatek do N-ru 31 — 1896 r.

gdzie się obrócić, wszędzie domy i domy, nie więcej; albo dorożki, tramwaje, wielka mi przyjemność.

A na wsi to krowa, to owca, tam ptactwo, tu pole, tam łąka.

Jedno, woła bee... drugie mee... tam znowu basem muu... to cze... cze...

Cała orkiestra!

A jeszcze wczoraj byliśmy w Warszawie. Jak sobie przypomnę, coś tam za nudy, coś za przykrości!

Słońce tak w okno piecze, jakby dwadzieścia pieców, w pokoju tak gorąco, że miejsca znaleźć nie można, i nic na to nie pomaga. Lalki od rana rozbiorę i położę spać, bo co mają na taką spiekotę robić. Piłki mi się nie chce szukać, żadnego dobrego pomysłu do zabawy nie mam.

Wieczorem z tatusiem i mamusią idziemy gdzie do ogrodu na muzykę, do Doliny Szwajcarskiej, do Bagateli albo na wystawę. No i co mi potem?

Mnóstwo osób idzie Alejami, ale sami nieznajomi. Ja nawet nie słyszę co rodzice do siebie mówią, bo turkot kół zagłusza rozmowę. Na muzyce też nie lepiej. Choć tu turkotu niema i siedzę tuż przy rodzicach, ale zaraz jacyś panowie przychodzą i zagadują tatusia, a mówią tak jakoś dziwnie, choć po polsku, ale takimi wyrazami, albo o tak nudnych rzeczach, że nic nie rozumiem. Nareszcie muzyka zaczyna grać, panowie przestają mówić. No, myślę sobie, teraz porozmawiam; zaledwie usta otworzę, ojciec mówi: szal! trzeba słuchać, orkiestra gra ładną rzecz. No i znowu muszę siedzieć i słuchać, a przyznam się, że ta muzyka wcale mnie nie zachwyca. Patrzę na muzykantów jak wygrywają, czasem to się uśmieję jak ka-



pelmistrz dyryguje, tak wywija rękami, o mało ze stołka nie zleci. A jak długo grają!... Mój Boże, jak oni grają bez końca długo... Ale dosyć o tych smutnych rzeczach pisać, co tam, wszystko przeszło.

Więc wczoraj tatuś siedzi przy biurku i list czyta. Później obraca się do mnie i powiada:

— Maryś, jedziemy jutro na wieś, pakuj się!

Jak ja się nie zerwę! najpierw tatusia ukochanego ucałowałam, a później pobiegłam do mego pokoju pakować się. Gdyby nie mama i Krystyna pozapominałabym połowę rzeczy.

Nazajutrz wszystko jest w koszach, w tłumokach. Wsiadamy do dorożki i przyjeżdżamy na kolej Wiedeńską.

A tu ludzi pełen dworzec; wszyscy biegną, popychają się, wołają na tragarzy! Musiałam się mocno trzymać ręki mamy, boby mnie odepchnęli nie wiedzieć gdzie. Wchodzimy do wagonu. Dzwonią, gwiżdżą i pociąg jedzie.

Przejeżdżamy stację, jeszcze stację i jeszcze kilka i nareszcie dojeżdżamy do małego przystanku, gdzie nas czekał powóz. A później, później... same przyjemności! przyjechaliśmy na wieś. Tu spotkał nas dom cały: ciocia, wujek i kuzynki.

Teraz pójdę zaraz spać do pokoju mojej kuzynki, na dużym łóżku. Dziewczyna wiejska przyniosła mi zimnego mleka, żebym się napiła przed spaniem. Czemu nie, z przyjemnością! mleko bardzo lubię...

*Marya Weryho.*

## W LASKU.

W sosnowym lasku żyła sobie wesoło i swobodnie rodzina grzybków. Matka, ojciec i pięcioro malców o krótkich popielatych nóżkach i brunatnych główkach.

Dobrze im było razem w ciepłym mchu i pożywnym wilgotnym gruncie. Obok rosło drzewo, którego korzenie zakrywały małą kolonię, tak, że nikt nie mógł jej dojrzeć.

Pewnego razu jakiś owadek zabłąkał się między korzeniem drzewa i opowiadał grzybkom, co dzieje się na świecie: jak to słońce świeci, ptaszki śpiewają, kwiatki kwitną.

— Szkoda, że my tego nie możemy widzieć — szepnął jeden z młodych.

— Nie należy nigdy skarżyć się na swą dolę — odpowiedziała matka — czy źle nam tu, pod mchem ciepłym, czy nie wesoło razem?

Upłynęło dwa tygodnie od dnia, kiedy młode grzybki wysunęły z pod ziemi swoje główki. Dziś były one już dorosłe.

— Wiecie co — rzekł jeden z nich — wypchnę mech i zobaczę, co też się dzieje tam, w górze.

— Nie rób tego — powiedział ojciec — słyszałeś, że po lesie chodzą ludzie, którzy nas wycinają i jedzą.

Ale grzybek miał wielką wadę. Kiedy się uparł coś zrobić, nikogo nie słuchał. nawet rodziców. To też, jak

tylko wszyscy usnęli, podniósł się do góry, uniósł mech, potem go rozerwał i wysunął główkę.

— Ach, jak tu ślicznie! — zawołał uradowany i obudził młodszego brata, który wyjrzał także na powietrze.

— Jak będzie dzień, znowu się schowamy — powiedział bratu, i śmiejąc się, obaj spoglądali na świętojańskie robaczki, które w nocy świecą zielonawym blaskiem, na kwiatki, drzewa...

Nastał ranek, ale napróżno grzybki próbowały się schować: mech był przerwany nie okrywał ich już wcale. Zapłakały.

— Mamusiu, jakie śliczne dwa grzybki — posłyszały głos niedaleko, i po chwili dwie rączki dziewczynki, przechodzącej przez las, pochwyciły je i wyrwały z korzeniem.

Kiedy grzybki omdlałe przyszły do siebie, zobaczyły, że leżą na jakiejś desce, a obok ktoś ostrym nożem kraje ich towarzyszy i wrzuca do garnka.

— Dlaczegośmy nie usłuchali rad rodziców? — skarżyły się.

— O! jakżeby chciały być teraz tam w lesie, pod mchem, między korzeniami pocziwej sosny!

*H. G-t.*

## Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła *M. B.*

(Dalszy ciąg).

— Doprawdy, a to w takim razie powiedz-że nam, moja mała, dla czego porzuciłaś rodzinną wioskę? — rzekła pani Dumany, zwracając się do Melci.

— Wieczorem, w dzień pogrzebu naszej matki, ojciec wpierw już zginął na morzu, posłyszałam przeze drzwi, jak karczmarka bardzo zła kobieta, umawiała się z dalekim krewnym mamy, by nas między sobą podzielić. On miał zabrać Iwonka, a ja pozostać miałam u niej, obiecywali sobie ostro się z nami obchodzić, bić i karać zmuszając do ciężkiej pracy! Iwonek oddzielony odemnie, bity... tego wytrzymać nie mogłam! Obudziłam go wśród nocy, uciekliśmy i skryliśmy się w mojej skale...

— Twoja skała? A to co znów nowego — zapytała pani Prosperowa.

— To nasza grotta — rzekł Iwonek nie rad, że jego nie pytają się o nic, kiedy on przeciwnie miał wielką ochotę do opowiadania.

— Skała! grotta!... Za kogoż wy nas macie sądząc, że damy wiarę takim baśniom, brakuje tylko jakiej dobrej wróżki. Jakże daleko musiała być ta skała, czy ta grotta od waszej wioski, żeście się w niej tak dobrze ukryć zdołali?

— Przeciwnie pani, była bardzo blisko — odrzekła Melcia — zaledwie jakieś małe ćwierć mili. Nazwałam ją skałą zamkniętą, bo nie miała żadnego wejścia...

— Jakżeście się zatem dostali do wnętrza?



— Przez otwór w piasku — wtrącił znowu Iwonek — za każdym razem miałem wiele strachu, wsuwając się w tę dziurę.

— Opowiadania wasze nie mają żadnego sensu. Hortensyo, proszę oddać tym żebrakom ich własne ubranie — rzekła pani Dumany tonem surowym — dajcie im po kawałku chleba z mięsem i niech się wynoszą...

Na te słowa Melcia ujęła Iwonka za rękę i ukłoniwszy się grzecznie zmierzała ku wyjściu. W oczach jej widniał żal za posądzenie o kłamstwo, lecz gdy wejrzenie jej spotkało się z wejrzeniem pana Dumany, takim pocziwem i serdecznem, łza jej na rzęsach zawisła.

— Zaczekaj-no jeszcze maleńka — zawołał głosem podniesionym pan Dumany — a macie wy przynajmniej cokolwiek pieniędzy na dalszą drogę?

— Nie panie, nie mamy ani grosza. Cztery franki, które wydobyłam z mej puszkki, wydaliśmy na chleb i noclegi w drodze.

— Jak dawno już tak idziecie?

— Przeszło dwa tygodnie.

— Dwa tygodnie! A wieleż mil dziennie idziecie?

— Z początku, pewno, że po dwie mile, odpoczywając po drodze, ale w ostatnich dniach mój braciszek był taki zmęczony... i głodny... Gdyby nas pan nie podniósł w lesie, gdzieśmy całą noc spędzili, bylibyśmy tam zapewne oboje umarli...

— Umarli... musieliście zapewne udawać zemdleńce — wtrąciła pani Dumany.

— Dostyc już tego, moja bratowo — rzekł surowo pan domu. — Moja pocziwa Hortensyo, polecam te sirotę twej opiece; chmury ciemne nadciągają, będzie niezawodnie burza. W taką noc nie chciałbym psa widzieć na dworze, a nie dwoje dzieci wypędzać z domu. Tem gorzej dla nich jeżeli kłamią, ale ja wolę być oszukany niż bezlitosnym.

— Więc one u nas zanocują? — zapytała panna Hortensya z uśmiechem zadowolenia.

— Tak, a mam nadzieję, że pod twoją opieką źle im nie będzie.

To mówiąc wstał, a gdy panna Hortensya z dziećmi pokój opuściła, gwizdnął na psy i skierował się z niemi ku wyjściu.

— Kochany Euzebiuszu — rzekła pani Dumany — boję się, że cię nie zadowolniła?

— Litość — to prawo Boskie, pamiętaj o tem zawsze kochana bratowo, Chrystus powiedział: „Pozwólcie tym dziaćkom przyjść do mnie”...

I nie zatrzymując się dłużej wyszedł, a za nim trzy ulubione jego psy.

Pani Dumany zaniepokojoną była swoim postępowaniem, zależną będąc od brata, radaby była w niczem mu się nie narazić.

Pan Dumany, młodość całą przepędziwszy za oceanem, przywykł do bezwarunkowego posłuszeństwa licznej rzeszy sług i domowników, dom jego zaludniających. Po powrocie do kraju nabył ładny majątek, osiadł w pałacu w Landes, a Jo chętnie opowiadał, że pan jego był tak bogaty.. tak bogaty... że choćby chciał nawet, z trudnością zdołałby wydać wszystkie złoto jakie posiada. Pani Dumany wdowa po jego bracie, miała zaledwie niewielką

emeryturkę po mężu. Nic więc dziwnego, że mocno nie-rada z samej siebie, powracała do swego pokoju, podczas gdy Melci i Iwonkowi snem się wydawało przepędzenie nocy w tym ślicznym domu, deszcz mógł sobie padać, nie zmoczy ich jak wczoraj w lesie. Melcia nie opuszczała gospodyni, pomocą i usługą chcąc się wywdziżyć za otrzymaną dla obojga łaskę.

Iwonek znów krok w krok chodził za Murzynem, który bardzo z tego zadowolony śmiał się co chwila.

Po smacznej kolacyi, podczas której Melcia zwracała pilną uwagę na Iwonka, by nie zawiele nabierał na talerze i przez to nie wydał się zbyt łakomym, panna Hortensya zaprowadziła dzieci do małego pokoiku obok swojego. Tutaj czekały już na nich dwa wygodne, czysto zasłane łóżka, po nocy bezsennej, po trudach i niewygodach podróży, sen nie dał długo czekać na siebie, ledwo głowy przyłożyli do poduszki, zasnęli smacznie.

Nazajutrz Melcia obudziła się znacznie później niż zwykle, chciała wstać, nie mogła i z krzykiem upadła na posłanie.

— Czyś ty chora? — zapytał Iwonek, który już napół ubrany myć się zaczynał.

— Wszędzie mnie boli, ta noc w lesie to zrobiła... Cobyśmy poczęli, gdyby nas wczoraj wyrzucono za drzwi? Umariałbym gdzieś w rowie na drodze. Dzisiaj jeżeli nas wyprawia, nie będę mogła kroku postąpić... Ale co powie panna Hortensya?... Gotowa pomyśleć, że przez lenistwo narzekam...

Pomimo kilkakrotnych wysiłków, Melcia ruszyć się z miejsca nie mogła, za każdą próbą bóle się wzmagaly. Panna Hortensya wstała już dawno, obeszła cały dom i kobiece gospodarstwo, by się przekonać czy wszyscy w porządku i na miejscu. Weszła do pokoju dzieci niosąc im ich własne ubrania, które pomimo nadzwyczajnej czystości, było jednak widocznie mocno zniszczone.

— Pan kazał oddać pożyczone ubrania, a wam zrobić nowe, ale zanim będą gotowe, musicie jeszcze przez dni parę pochodzić w tem starem. Ale dlaczego jeszcze Melciu nie wstajesz?

— Takie mam bóle, że nie mogę, choć już próbowałam, ale czy się pani gniewać na mnie nie będzie?

To mówiąc raz jeszcze próbowała usiąść na łóżku, ale tak zbladła, że panna Hortensya przyskoczyła do niej myśląc, że zemdleje. Ręce miała pałające.

— To wszystko pochodzi z przeziębienia — zadecydowała gospodyni. — Pójdę poradzić się pana co robić, pan leczy doskonale, tymczasem nie ruszaj się i leż spokojnie.

To mówiąc gospodyni zabrała rzeczy pożyczone wczoraj dzieciom, a gdy się znalazła w swym pokoju, powodowana zwykłą swą akuracnością i porządkiem zajrzała, czy nie pozostało co w kieszeniach. Dosłyszała brzęk padającego metalu na podłogę i zobaczyła pieniądź jakiś, który się potoczył w drugi koniec pokoju, a z kieszeni Iwonka wyciągnęła chustkę bardzo brudną, zupełnie już zniszczoną... W rogu coś było związane, odwiązała supełek i znalazła kawałek białego kamienia.

Kamyk ten wyglądał na odłamek lustra kryształowego.



wego, mieniał się tak dziwnie, wszystkimi kolorami tęczy w świetle promienia słonecznego.

— Skąd to dziecko wzięło ten kryształ? — dumiała panna Hortensya, podnosząc jednocześnie żółty pieniążek, któremu poczęła się przyglądać z ciekawością.

Musiał być chyba miedziany, jednakże tak ją zastanowiły wyrzeźbione na nim rysunki, iż postanowiła tak jedno jak i drugie zanieść panu.

O tej godzinie pan Dumany zwykł spacerować z psami po parku, siadał najczęściej na ławce obok stawu i przyglądając się płasom swych ulubieńców palił fajeczkę.

Tam go też panna Hortensya znalazła.

— A cóż tam nowego, Hortensyo?... — zapytał.

— Chciałam z panem pomówić.

— Ale z dziećmi nie złego, mam nadzieję?

— Ale też i nic dobrego proszę pana. Mała jest chora, zdaje się z przeziębienia, dostała gorączki i bólu w całym ciele.

— Pójdę ją zaraz zobaczyć.

— A po drugie... aż mi przykro to mówić... ale kto wie czyśmy się na nich nie pomylili... ja byłam przekonana, że to najlepsze dzieciaki...

— A któż każe ci teraz o tem wątpić?

— Oto znalazłam w kieszeni chłopca dwa przedmioty, które o ile mi się zdaje, nie mogły być nigdy w posiadaniu ludzi niezamożnych.

— Pokaż-że je.

Panna Hortensya podała najprzód monetę... Pan Dumany przyglądał jej się długo i uważnie, obracał na wszystkie strony, skrobał szczyrykiem.

— Złoty czy miedziany? — zapytała z niepokojem gospodyni.

— Złoty, a do tego moneta nadzwyczaj rzadka i ciekawa, hiszpańska, wartości przeszło trzystu franków.

— Jezus, Maryo! więc oni są złodzieje, bo inaczej czyżby nie sprzedali tej monety, gdyby nie była kradzioną!... bali się by ich nie przytrzymało, a ten kamyk?

Twarz pana Dumany stała się bardzo poważną na widok kamienia, przyjrzał mu się z bliska, odsunął od oczu by nań padły promienie słońca.

— I cóż proszę pana?

— Wiem Hortensyo, że zaufać ci można, umiesz milczeć, nieprawdaż?

— Z pewnością proszę pana, ale cóż to takiego?

— Brylant najczystszej wody, a tak pięknie szlifowany, że sądzę, iż w Paryżu możnaby go sprzedać za ośm do dziesięciu tysięcy franków.

— Dziesięć tysięcy franków! ależ na Boga oni należą może do bandy rozbójników, wysłani tutaj by im ułatwić w nocy dostanie się do pałacu.

— To wszystko być może, ale niema się czego obawiać, jest nas dość osób w domu i broni nam nie brak potrafilibyśmy stawić opór. Trzeba jednak śledzić pilnie tych malców, nie nikomu nie mówiąc. Monetę i brylant włóż w to samo miejsce gdzieś je znalazła i dawaj mi znać o wszystkim co oni robić będą.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ułożyli Sokoły.

*Pierwsza* wspaniała wzięta spółgłoskę przedstawi,  
Odnaleźć *drugą* pewno niedługo zabawi  
Bo w szeregu brzmień mowy jest wodzem naczelnym;  
A znów miłym poetą i człowiekiem dzielnym  
Był ten, którego *trzecia* nazwę nam podaje.  
Gdy *wszystko* połączymy wnet w myśli nam staje,  
Italii miasto piękne co się w morza toni  
Przegląda jak w zwierciadle, a jednak kraj broni.

## ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożyła Ptaszyna litew.

1	.	.	.	.	.	.	.
2	.	.	.	.	.	.	.
3	.	.	.	.	.	.	.
4	.	.	.	.	.	.	.
5	.	.	.	.	.	.	.
6	.	.	.	.	.	.	.
7	.	.	.	.	.	.	.
8	.	.	.	.	.	.	.

Wyszukać 8 wyrazów ośmiogłoskowych, którychby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę ptaszka z rodz. wróblowatych. Znaczenie wyrazów:

1) Roślina z rodz. szyszkowatych. 2) Miejsce lecznicze w gub. Lubelskiej. 3) Córeczka poety sama poetką. 4) Zwierzęta ssące z rodz. długojęzykowych. 5) Część oka nadająca mu barwę. 6) Miasto w gub. Mohilew. 7) Miasto nad Bugiem w gub. Lubel. 8) Państwo w półn. Europie.

Sylaby: Ja — na — ur — te — mści — du — ka — to — te — szul — czów — ka — ka — ka — dia — więc — łus — kaw — ce — czów — sław — bien — lan.

## KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Wróbelek.

a	a	g	i
i	j	j	k
k	o	o	w
s	s	t	t

Gra w karty.

Narzędzie do szycia.

Naczynie szklane.

Rzeka w Hiszpanii.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Szarady: U — lan — ka.

Zagadki: Samogłoska A.

Kwadratu magicznego:

P	o	l	e
o	r	a	z
l	a	w	a
e	z	a	w